



kończył już tydzień od min... ko wam, chcieliśmy to
O pojedynczych rozpuści... również tym z
nam wielkie o miejsce w skł... Polonii Unii Europejskiej
dzie, Młody Egipt za nasza...ropa Słodka, Grupa
i) jest zapieczętowany m... nasurrogim będzie k...
powodów, zachęcających...stępnym polskim
oferty, szczególnie, że dla...
mniejsi i w przyszło...
mo na nim letnie za...
TPN. Warszawa im
złożenie Śnieżnika
pizomem. Pomyśl na
nie sam w sobie jest
tyś się pierwsze w hi...
dziedzy dalej - Polska
letnie olimpiady za

Anna Dominiczak "W Domu Spokojnej Jesieni"

Fahrenheit Crew

Podejrzewam, że ostatni raz podejmuję wysiłek nadania znaczenia wydarzeniom z mojego życia. Wkrótce już nie będę do tego zdolny. Haniu, przepraszam, że nie zawsze byłem dla ciebie takim tatą, jakim powinienem. Może to, co teraz się dzieje, jest karą za moje niefrasobliwe ojcostwo.

Ale jeśli tak, to chyba kara jest zbyt okrutna.

Z okien mojego pokoju widzę kilka nagich, rachitycznych drzew, których powyginane sylwetki przypominają wielu spośród nas, kruchych i przygiętych do ziemi. Jest zima, pora roku, w której szczególnie trudno uciec. Mój współlokator został niedawno zabrany i zastanawiam się, kiedy moja kolej.

Myślę o tym, czy mogło być inaczej, czy w tamten zimowy poranek, rok temu, pani Kąkol mogła zjawić się pod zupełnie innym adresem, u zupełnie innego starszemużczyzny, który – tak jak ja – potrzebował gosposi do sprzątania jego nędznej kawalerki, robienia zakupów i gotowania obiadu. Wtedy to jemu, a nie mnie, przydarzyłaby się cała ta historia i to on, a nie ja, siedziałby teraz w pokoju na piętrze Domu Spokojnej Jesieni w miasteczku, o którym zapomniał nawet diabeł.

Ale pani Kąkol zapukała tamtego dnia do moich drzwi, w odpowiedzi na ogłoszenie, które ty, Haniu, napisałaś. Nie mogłaś wiedzieć. Chciałaś dobrze.

Niska, przysadzista kobieta o włosach ufarbowanych na czerwony kolor i uśmiechu, który nigdy nie schodził z jej ust. Taką zobaczyłem panią Kąkol wówczas i poczułem się na moment nieswojo, ale zignorowałem to uczucie, kładąc je na karb mojej zwykłej podejrzliwości wobec zbyt grzecznych osób.

Po kilku latach samotnego mieszkania zmieniłem się w zgryźliwego piernika, dzisiaj to przyznaję. Długo walczyłaś ze mną, zanim wreszcie wyraziłem zgodę na „gosposię” (wiedziałaś, żeby nie używać przy mnie słowa „opiekunka”). Tak naprawdę opierałem się bardziej dla zasady, bo gdzieś głęboko drażyło mnie poczucie samotności, a perspektywa czyjejś regularnej obecności w moim mieszkaniu nie była mi aż tak niemiła. W ostatnich latach poucinałem wszystkie kontakty towarzyskie i nie umiałem już do nich wrócić. Choć mój umysł pozostawał sprawny, brak bodźców rozleniwił mnie.

Na początku żartowałem z mojej gosposi i trochę też jej dokuczałem, mówiąc, że na pewno czyha na pochowane w moich skarpetach zaskórniaki. Pani Kąkol tylko uśmiechała się dobrotliwie, kiwała głową i wykonywała spokojnie swoje obowiązki. Była schludna i dobrze gotowała. Pasowało mi, że robi za mnie wszystko, szybko przyzwyczałem się do wygody. Wydawało się, że układ jest idealny.

Czasami moja gospodyni patrzyła na mnie dziwnie zmrużonymi oczami. Jej uśmiech w takich chwilach poszerzał się i dostrzegałem w nim niezrozumiałą satysfakcję. Wtedy nie potrafiłem wytłumaczyć sobie, co mogło budzić takie jej zadowolenie. Teraz wiem, że widziała we mnie idealny materiał na pensjonariusza Domu Spokojnej Jesieni.

Wkrótce pani Kąkol stała mi się niezbędna. Bez jej pomocy nie odważałem się nawet na chwilę wyjść z domu, zwłaszcza że moja sprawność zaczęła się z dnia na dzień pogarszać. Chodziłem z coraz

większym trudem, zacząłem cierpieć z powodu problemów z prostatą, bolał mnie kręgosłup. Lekarze uznali, że to normalne objawy starości, przepisali tabletki i syropy, o których regularne przeze mnie zażywanie troszczyła się niezastąpiona gosposia. Im bardziej przerażały mnie szybko postępujące objawy własnego starzenia się, tym mocniej stawiałem się od niej zależny. Wkrótce do kompletu symptomów doszło zapomnianie. Czasem myliłem cię, Haniu, z twoją matką, a czasem w ogóle nie rozpoznawałem. Mówiłaś mi o tym później z żalem i strachem, a ja udawałem, że ci nie wierzę, choć tak naprawdę nie byłem już pewien niczego.

Pani Kąkol niepostrzeżenie przejęła nade mną całkowitą kontrolę. Decydowała o tym, kiedy możesz mnie odwiedzić, co będę robić, w którym miejscu usiądę, a gdy zacząłem zapominać słów i bełkotać, robiła za mojego prywatnego tłumacza. Sęk w tym, że wielokrotnie przekreślała to, co próbowałem powiedzieć...

Któregoś ranka obudziłem się z okropnym bólem prawej dłoni. Gdy podniosłem ją do oczu, zobaczyłem bąble poparzeń. Kompletnie nie pamiętałem, co się mogło stać. Budziłem się też w pościeli mokrej od moczu, chociaż wcześniej nigdy nie miałem problemów z pęcherzem. Parę razy ocknąłem się na izbie przyjęć, z głową obandażowaną lub świeżo zszytą, i powiedziano mi, że pod nieobecność gosposi upadłem i uderzyłem głową o framugę.

Rozmawialiście wiele razy, przyciszonymi głosami, i miałem wrażenie, że za moimi plecami dzieje się coś, czego nie potrafię zrozumieć. Kiedy pytałem, z moich ust wydobywał się niezrozumiały bełkot albo proste zdania o dziecięcej konstrukcji, niezgodne z tym, co naprawdę miałem na myśli. Czułem, że mój rudy żandarm namawia cię do czegoś, łamie cię. Było już za późno na zmianę gosposi. Nie potrafiłem wyjaśnić ci, jak głęboką niechęcią zaczęła mnie przepełniać.

To wtedy podjęłaś decyzję o umieszczeniu mnie w Domu Spokojnej Jesieni i teraz rozumiem, że pani Kąkol zrobiła dokładnie to, czego oczekiwała od niej Madame.

Pamiętam pierwszy dzień. To, jak stałem przed drzwiami Domu Spokojnej Jesieni, obserwując cię, córeczko, idącą w stronę samochodu. Obróciłaś się kilka razy i pomachałaś mi, a ja nie mogłem się nawet ruszyć, bo na moim ramieniu leżała ciężka, kontrolująca dłoń pielęgniarki. Za oszklonymi drzwiami mojego nowego domu zebrało się jeszcze kilka osób z personelu, wszyscy z jednakowo sztucznie sympatycznymi minami, ubrani w nieskazitelną biel, nieruchomi i oczekujący. Gdzieś w tle mignęła rozmazana plama czerwieni i to był ostatni raz, kiedy widziałem panią Kąkol. Myślę, że spełniła po prostu swoje zadanie.

Chciałem krzyknąć za tobą, ale z moich ust nie padło ani jedno słowo.

Pielęgniarz zaprowadził mnie do środka, gdzie roilo się od ludzkich wraków. Z politowaniem i odrazą patrzyłem na zgrzybiałych starców i mamroczące coś do siebie, trzęsące się staruszki. Nie pasowałem do nich. Zaszła pomyłka. Nie mogłem nikomu jej wyjaśnić, ponieważ nie byłem już władcą własnego aparatu artykulacyjnego.

Przez wysoki metalowy płot, okalający Dom Spokojnej Jesieni, prowadziła otwierana kodem furtka. Zakład był parterowym budynkiem o dwóch skrzydłach, nowoczesnym i sterylnie czystym wewnątrz, zresztą oglądałaś go, Haniu. W powietrzu unosił się nieznacznym, bo przytłumiony detergentami, zapach starości – moczu, fekaliiów i pieluch – który wydawał się oddzielony od lśniących podłóg i szyb. W przeszklonym ze wszystkich stron salonie siedzieli całymi dniami starcy i staruszki, z rzadka zmieniający pozycję na kanapie lub cicho zawodzący. Posiłki podawano nam w przyległej sali – zupy mleczne na śniadanie, pozbawione smaku obiady i nudne kolacje. Codziennie o tej samej godzinie wydzielano nam leki, naklejano plastry i braliśmy je, nadstawialiśmy ramiona, posłuszni jak stado owiec. Kiedy zdarzały się małe bunty, pielęgniarki tłumiliły je skutecznie i szybko.

Mój mózg działał na zwolnionych obrotach, jednak zdarzały się przebliski świadomości i w tych momentach w manekina, jakim się stałem, wstępowało życie. Co z tego jednak, skoro nie mogłem wyartykułować dławiącego mnie niepokoju i potrafiłem wystękać ci jedynie: chcę... do... domu... zabierz mnie... do... domu...

Chciałem ci tyle powiedzieć, ale kiedy mnie odwiedzałaś, mogłem jedynie narzekać na niedobre jedzenie lub domagać się papierosa! Coś kneblowało mi usta, wiązało ręce i nogi, czyniąc posłusznym, bezwolnym stworzeniem, podobnym do kanapowców z oszklonego salonu.

Haniu, moja córeczko, nigdy nie będę ci mógł powiedzieć, jak się boję. Teraz, w tej sekundzie, i wtedy, gdy powoli docierało do mnie, że nie jestem gościem hotelu, który stanowi tymczasowe lokum, ale do końca moich dni mam pozostać w tym przybytku smutku. Ja, który byłem zawsze sprawny i silny, teraz musiałem bezradnie poddawać się zabiegom pielęgnacyjnym – rozbieraniu, wstawianiu pod prysznic, szorowaniu bezwolnego, obnażonego ciała i zakładaniu pieluchy. Patrzyłem na siebie ze zdziwieniem, bo nie pamiętałem, kiedy zdążyłem zmienić się w dziada, który nie umie nawet zapiąć guzika u spodni, a gdy je, papka wylewa mu się z ust, ścieka po brodzie i zasycha na niej w kompromitujące, żółte ścieżki.

Bąłem się mojej niesprawności. Ale sto razy bardziej bąłem się kobiety, od której tutaj byłem zależny. W porównaniu z Madame moja przebiegła gospodyni wydawała się aniołem.

Madame zjawiała się zawsze zniecka, a jej nadejściu towarzyszył podmuch gorąca i zapach smaru. W jej głosie czał się przenikliwy zgrzyt. Drząc ze strachu, nie potrafiłem spojrzeć jej w twarz, więc – tak jak inni pensjonariusze – nigdy nie dowiedziałem się, jak naprawdę wygląda. Mam przed oczami tylko jej czarne włosy, które sięgają pasa, ogromny, wylewający się z bluzek biust i dłonie w czarnych rękawiczkach. To chyba były rękawiczki atlasowe, takie, jakie nosi się na wielkie bale. Myślę, że Madame nie chciała mieć kontaktu z jakimkolwiek płynem fizjologicznym. A my przecież zanieczyszczaliśmy się. I cuchnęliśmy. Jak ludzie. Jak starcy.

Ten zgrzyt...

Słyszałem go nocami. To był dźwięk metalu ocierającego się o metal, nachodzących na siebie kółek zębatach, otwierania zardzewiałej kasetki. Raz cichy i odległy, innym razem przybierał na sile, wydawał się dobiegać tuż spod drzwi mojego pokoju. Leżąc w łóżku z szeroko otwartymi oczami, nasłuchiwałem, moje czoło pokrywało się potem, a wyobraźnia podsuwała mi wizję ściągającej czarną rękawiczkę Madame.

*

Za dnia gnębiły mnie myśli o śmierci. Odsunąć je na chwilę pomagały najpierw papierosy, a potem, gdy zaczęły się zawroty głowy i musiałem (nie z własnej woli!) odstawić fajki – słodycze. Przywoziłaś mi, Haniu, stosy czekolad, ciasteczek obsypanych cukrem, delicji i pulchnych pierników. Przyjeżdżałaś wtedy regularnie, raz w tygodniu, i twój widok oraz smakołyki pomagały na mój lęk.

Kiedy słodycze się kończyły, odważyłem się kraść je towarzyssom niedoli. Dawałem sobie na to przyzwolenie, wierząc, że mieszczę się wyżej niż oni na drabinie ewolucyjnej Domu Spokojnej Jesieni. Buszowałem po ich szufladach, szukając zapomnienia w słodkim miększu znalezionych frykasów.

W ten sposób odkryłem sekret mojego współlokatora, Witolda.

Żyliśmy w tym samym pokoju, doskonale na siebie obojętni. Do tego stopnia było nam wszystko jedno, że nie wyraziliśmy nawet słowa sprzeciwu wobec faktu pomieszczenia w wielkiej szafie naszych rzeczy, od którego to momentu wielokrotnie spotykałem Witka w swoich majtkach lub piżamach, a

Witek ze stoickim spokojem znosił mnie, spacerującego w jego własnych spodniach i swetrze. To było normalne w naszym Więzieniu Spokojnej Jesieni. Nosiliśmy nieswoją bieliznę i nieswoje kapcie. To, w co zostaniemy ubrani, nie było już ważne ani dla nas, ani, najwyraźniej, dla pielęgniarek.

Witek miał mocny sen, więc gdy późnym wieczorem zakradłem się pod jego szafkę nocną, nie spodziewałem się, że przyłapie mnie z ręką zanurzoną w niej prawie po łokieć. Przyłapał jednak i chwycił za przegub z siłą, o którą bym go nigdy nie posądził. W ciemnym pokoju tylko jego oczy błyszczały niezdrowym blaskiem. Skruszony, wysunąłem rękę, z pięścią zaciśniętą na czymś, co zupełnie nie przypominało batonika.

W garści trzymałem śrubki.

Witek bezceremonialnie odgiął moje palce, wyjął spośród nich jedną ze śrubek, otworzył szeroko usta, po czym wpuścił sobie metalowy drobiazg prosto w otwór gębowy. I przełknął.

Odległy, jakby podziemny zgrzyt wprawił na moment podłogę w drżenie.

A potem był już następny dzień.

Myślałem, że Witek stosuje stary jak świat trik więźniów, aby znaleźć się w szpitalu i choć na trochę odsapnąć od Domu Madame, ale potem dowiedziałem się, że Madame zatrudnia własną opiekę medyczną, a w drugim skrzydle mieści się część szpitalna.

Część szpitalna, Haniu! Gdybyś wiedziała, na czym to polegało... Ale nie mogłaś wiedzieć i już się nie dowiesz, córeczko. Tak jest lepiej.

W trakcie kolejnych wieczorów byłem świadkiem, jak Witek połyka bez żadnych trudności widelec, łyżkę i nóż.

*

Wypracowałem parę metod na radzenie sobie z kontrolą pielęgniarek.

Na przykład otwieranie furtek, zamykających schody przy ich podstawie, na parterze, i u góry, na piętrze. Ktokolwiek chciał wejść lub zejść, musiał czekać, aż zjawi się ktoś personelu.

Ukradzioną z kuchni łyżką podważałem język zamka i przedostawałem się dalej, gdy nikt nie widział. Sprawiało mi to radość. To był jeden z niewielu sposobów, w jaki mogłem przeciwstawiać się wszechmocnej woli Madame.

Furtki zainstalowano nie dla naszego bezpieczeństwa, ale dla lepszej kontroli. Po to, by żaden z nas nie spróbował uciec.

Otępieni lekami, z trudem znajdowaliśmy siłę na zejście do salonu lub wdrapanie się na piętro, do części mieszkalnej, więc ucieczka mogła wydawać się abstrakcją, a jednak nawet wśród nas, mamroczących, plotących trzy po trzy, świszczących i plujących, krążyły strzępki mitu o pacjencie, któremu się to udało! Pilnowali więc nas, wiedząc, że wciąż tli się nadzieja, a póki ją posiadamy, trzeba mieć na nas oko.

Szurając nogą za nogą, testowałem wszystkie drzwi, na wypadek gdyby któreś z nich okazały się pewnego dnia otwarte.

Z czasem zacząłem widzieć w staruszkach z salonu skazańców. Być może, jak ja, uwięzieni w

niesprawnych ciałach, marzyli o wolności i powrocie do swoich domów. Szukałem w ich szklanych oczach jakiegokolwiek iskry świadomości, ale wszyscy, choć patrzyli przed siebie, kierowali wzrok w jakiś inny wymiar. Jak unoszeni w bańkach powietrza, spotykali się na moment, żeby wymienić pozornie logiczne uwagi, po czym szybko odbijali się od siebie i znów dryfowali w stronę szaleństwa.

Nie potrafiłem przyjąć, że mogę być do nich podobny.

Kiedy zobaczyłem któregoś razu panią Misiuk, trzęsącą się nad swoim balkonikiem na końcu korytarza, pomyślałem, że zwyczajnie zawiesiła się w swojej bańce i trzeba nadać jej rozpęd. Sunąłem w jej stronę noga za nogą. Jej sylwetka rysowała się mało wyraźnie na tle okna buchającego białą zimy. Podchodząc, widziałem, że coś mi nie pasuje, że czegoś brakuje w przygarbionej sylwetce pani Misiuk. Zalała mnie fala nieokreślonego lęku.

Byłem już bliżej i wiedziałem, że tym, co przejmuje mnie strachem, jest wrażenie, że jej ręce od przegubów nienaturalnie się zwięzają i stapiają z metalem balonikowej poręczy w jakiś niemożliwy do ogarnięcia rozumem sposób. Tak jakby pani Misiuk zlała się ze swoim sprzętem w jedno.

Pielęgniarz zjawił się przede mną jak duch.

- A czego to szukamy? - zaszczebiotał do mnie niczym do niemowlaka. Delikatnie, ale stanowczo ujął moje ramię i zaprowadził do salonu.

Śniłem na jawie, musiałem fantazjować. Tak wytłumaczyłem sobie zdarzenie z panią Misiuk.

Nie mogłem jednak znaleźć uzasadnienia dla faktu, że od tamtego momentu nikt już nie widział jej w Domu Spokojnej Jesieni.

*

Kilku kolejnych nocy nie przespałem dobrze. Wierciłem się, na ile pozwalały spowalniające moje ciało okowy starości, i doznawałem urojeń. Wydawało mi się, że otaczają mnie przedziwne dźwięki i zapachy. Odczuwałem wyobrażony dotyk na nogach i rękach. Ubrane w biel postacie bez twarzy obmacywały dokładnie moje kości, jakby sprawdzając, ile ich mam w ciele. Rozciągały moje członki, testując elastyczność mięśni i ścięgien.

Budziłem się obolały. Wydawało mi się, że pielęgniarki uśmiechają się do mnie w podobny sposób, w jaki robiła to pani Kąkol, jakby wiedziały więcej, i jakby frajdę sprawiało im moje niezorientowanie.

Myliło mi się wszystko, świat wokół zmieniał się, jakbym oglądał go z wnętrza własnej mydlanej bańki - rozmazane kolory, twarze, głosy szepczące niezrozumiałe dla mnie treści, zgrzyt wózków na kółkach... I strach, że przestaję być sobą. Że zwariowałem.

Ale szept Madame tej decydującej nocy był realny! Niemożliwe, aby moja wyobraźnia mogła stworzyć halucynację równie przekonującą, równie żywą, co Madame, sącząca mi w uszy słowa o rozwiązaniu lepszym niż śmierć. Mówiła mi, że to nieuniknione, i że wszyscy na początku się boją. Że droga wiedzie przez metal. Trzeba się mu poddać, otworzyć się nań. Pozwolić indywidualnej świadomości stać się kolektywną nieświadomością. Zespolić się z innymi, stać się częścią tworu większego niż strach, i w ten sposób uwolnić się od uczucia samotności, świadomości bycia niechcianym i bezużytecznym.

Szept towarzyszył mi do rana, a kiedy się przebudziłem, zauważyłem, że w pokoju nie ma Witka. Szybko zorientowałem się, że zniknęły też wszystkie jego rzeczy (w tym także spora część mojej niepodpisanej bielizny).

*

Po tej nocy, a miała ona miejsce cztery dni temu, nie dostałem już więcej leków. Każdy dzień bez nich przywracał mi jasność myślenia i odczuwania. Nabrałem zupełnej pewności, że moja piekielna gosposia faszerowała mnie medykamentami, upodabniając w ten sposób do zombie. Zrobiła to, bym trafił w ręce w atlasowych rękawiczkach. Czego jednak chciała ode mnie Madame, co chciała osiągnąć, szepcząc do mnie w ciemnym pokoju... nie miałem pojęcia.

Pojawiały się za to myśli o tym, kim jestem. Wracały wspomnienia. Te dobre budziły żal, potworną tęsknotę za tym, co utracone, a złe wstyd i poczucie winy. Przypominałem sobie, jak funkcjonowałem ostatnimi laty. Popijanie i ukrywanie butelek przed tobą, Haniu. Ubezpieczenie dla Urszuli na wypadek mojej śmierci, po to, aby kupić sobie choć odrobinę jej uwagi, chociaż kilka wizyt, bo to ona podjęła decyzję o rozstaniu, kiedy wyszła na jaw stara, zupełnie nieważna sprawa głupiego romansu. Mój brak kontaktu z synem z pierwszego małżeństwa. Niespecjalnie do tej pory gryzło mnie sumienie, bo nie sądziłem, abym popełnił więcej błędów niż inni, ale teraz, gdy budziłem się z wywołanego lekami otępienia, obudziło się też we mnie poczucie braku sensu tego wszystkiego.

Przez całe cholerne życie ciężko pracowałem. Może nie byłem święty, ale starałem się. Pamiętasz, Haniu, nasze wycieczki? Zawsze cię kochałem, czegokolwiek by o mnie nie powiedzieć. Byliśmy podobni. Poczucie humoru, umiłowanie podróży, nawet wygląd... chociaż na to ostatnie narzekałaś.

Przez ostatnie lata zrobiłem się wymagający wobec ciebie, jakbyś miała mi oddać cały ten poświęcony kiedyś czas. Teraz poczułem wstyd. I żal. Zaprzepaściłem tyle możliwości, aby być lepszym ojcem.

Nie wiedziałem, co zrobić z nagłym przypływem wspomnień, i kiedy mnie wczoraj odwiedziłaś, udawałem tępe ciele. Przepraszam, Haniu. Chciałem poukładać na nowo siebie z powracających obrazów i dopiero wtedy ucieszyć cię nowiną, że nie jestem już chory.

Nie dałem żadnego znaku, nawet kiedy powiedziałaś mi, że musiałaś sprzedać moją kawalerkę, aby móc dalej opłacać Dom Spokojnej Jesieni.

Zbierałem siły. Paradoksalnie, im więcej ich miałem, tym mniejszą uwagę poświęcały mi pielęgniarki. Nie otrzymywałem w ogóle leków. Mogłem chodzić, dokąd chciałem, robić, co chciałem. Gdy pielęgniarz przyłapał mnie w końcu na otwieraniu łóżka furtki, pokiwał tylko palcem. Z uśmiechem, jak dla żartu.

Nie pytałem o Witka.

Zdrowiałem, ale wewnątrz zaległa mi się straszna pustka. Nie wiedzieć czemu wypełniałem ją szeptem Madame. *Pozwolić indywidualnej świadomości stać się kolektywną nieświadomością. Zespolic się z innymi, stać się częścią tworu większego niż strach i w ten sposób uwolnić się od uczucia samotności, świadomości bycia niechcianym i bezużytecznym.*

*

Szept Madame rozrastał się w mojej głowie. Kierował mnie coraz bardziej w głąb Domu Spokojnej Jesieni, do tej części, do której my, starcy, nigdy się nie zapuszczaliśmy. Do skrzydła szpitalnego.

Szedłem korytarzem, a do tej pory zamknięte drzwi z matową szybą wpuściły mnie dalej. Potem następne, takie same, i wreszcie byłem na obcej ziemi. Po obu stronach długiego szpitalnego skrzydła znajdowały się drzwi z małymi okienkami, dokładnie na wysokości oczu. Dobiegały zza nich odgłosy skrzypienia lub chrobotu, kojarzące się z zepsutymi maszynami, które z rzadka przypomną

sobie czasy świetności; zazgrzyta któraś ich niespokojna część po to, by zaraz opaść z sił i znów usnąć.

Ciekawość potrafi być zaiste silniejsza niż strach. Musiałem zajrzeć i przekonać się, czy moje fantazje są prawdziwe.

I byli tam. Staruszki i starcy z naszego domu stali w kątach, siedzieli na łóżkach ze zwieszonymi głowami. Zobaczyłem panią Misiuk, zespoloną ze swoim balkonikiem, i kilka innych osób, których nie znałem, ale domyśliłem się, że były kiedyś normalnymi mieszkańcami Domu Spokojnej Jesieni. Teraz ich ciała wyglądały inaczej... Spojone z metalowymi elementami. Nieruchome niczym pomniki, zamiast z kamienia zrobione z ciała i złomu.

Byłem w połowie korytarza, gdy okaleczeni, zmechanizowani starcy poruszyli się jednocześnie, jakby przebiegł przez nich ten sam elektroniczny impuls – zgrzyt rozległ się upiornym echem w korytarzu i ucichł. A potem ruszyli jednocześnie do drzwi, sztywno i niezgrabnie. Przez okienka widziałem, jak podnoszą głowy i toczą wkoło twardymi kulkami oczu.

Biegłem z powrotem, używając na nowo odzyskanej siły nóg. Próbowałem wrócić do skrzydła, z którego przyszedłem, ale napotkałem opór matowej szyby. W panice rozejrzałem się po korytarzu i w ostatniej chwili, gdy drzwi od pokoiów zaczęły odskakiwać jedne po drugich, wypuszczając na wolnośćohydne istoty, wślizgnąłem się pod stojące przy ścianie łóżko na kółkach.

Gdybym nie widział, myślałbym, że korytarzem przesuwają się maszyny. Słyszałem dźwięk toczących się kół, zgrzyt blachy i syk spalin wydobywających się z rur wydechowych. Drugie spojrzenie utwierdziło mnie w przerażającej świadomości, że pod zwałami metalu kryją się ludzie. Widziałem fragment ludzkiej twarzy, wyłaniający się jakby z brzucha maszyny-potwora. Połowa twarzy była gładka, drugą pokrywały bąble i rany, ujawniające kolejne, ukryte w ciele metalowe elementy – śrubki i gwoździe.

Zobaczyłem Witka! Przypominał jeszcze człowieka, jednak z jego zgarbionych pleców wysuwały się rurki, drgając i dygocząc w rytm kroków.

Metalowe części wyglądały na przyrośnięte do ludzi, przylutowane. Rozpychały nienaturalnie kończyny, czyniły je groteskowo obrzmiałymi i groźnymi. Niektóre z istot posuwały się samodzielnie, inne stanowiły ciąg połączonych ze sobą rurkami i kablami układów. Wilgoć zbierała się na ich pancerzach. Krople ciekłego, rozgrzanego smaru rozpuszczały niektóre z elementów, zmieniając je w narośle, skupiające się na rękach, nogach i korpusach stworzeń. Ocierając się o siebie w wąskim tunelu, metalowi ludzie zahaczali nawzajem o swoje części, zrywając ich całe płyty. Krwawe pasma włókien przytrzymywały wiszące fragmenty pancerzy. Oczy istot poruszały się, ale nie zdradzały zrozumienia.

Odrażający pochód kierował się wzdłuż korytarza, w przeciwną stronę od tej, z której przyszedłem. Odczekałem, aż ostatni przeobrażony starzec zniknie za rogiem, i ruszyłem w stronę matowych drzwi, zdecydowany tak długo uderzać w szybę, aż ją wybiję.

Nie było potrzeby. Drzwi ustąpiły, a ja biegłem przed siebie, oddychając ciężko. Biegłem tak szybko, jak tylko zdołałem, biorąc pod uwagę śmieszne tempo starca. Na próżno próbowałem ukryć przerażenie. Serce szamotało się panicznie w mojej piersi, próbowałem usunąć z głowy obraz groteskowej kawalkady, ale nie potrafiłem.

Droga wiedzie przez Metal. Trzeba się mu poddać, otworzyć...

Pielęgniarki nawet nie spojrzały w moją stronę, gdy biegłem w kierunku wyjścia. Z postanowieniem

krzyku, dzięki awantury i walki do ostatnich sił, wpadłem do przedsionka Domu Spokojnej Jesieni i uderzyłem barkiem w drzwi prowadzące na zewnątrz.

Nie były zamknięte. Zawsze do tej pory pilnowane, szczelnie ryglowane, tym razem pozostały otwarte.

Zatrzymałem się z jedną nogą na zewnątrz, a drugą w środku. Podmuch zimy owionął moje rozpalone czoło. Powietrze na zewnątrz było świeże i czyste. Piętnaście kroków dzieliło mnie od furtki otwartej na oścież. Pielęgniarki, zajęte podawaniem obiadu swoim podopiecznym, ostentacyjnie mnie ignorowały... To mógł być podstęp. Mogli mnie przecież łatwo przechwycić zaraz po opuszczeniu zakładu. A może nawet z czystego okrucieństwa pozwoliliby mi pójść dalej, w przekonaniu, że jestem wolny.

Tak czy inaczej, czy był to fortel, czy nie, mogłem w tym momencie spróbować. Nadarzała się szansa, palicho, na ile realna. Pierwsza, odkąd tutaj trafiłem! Przecież właśnie na nią czekałem, przecież codziennie sprawdzałem klamki we wszystkich drzwiach!

To się zdarzyło parę godzin temu, Haniu. Stałem w progu i nie potrafiłem skorzystać ze sprzyjających okoliczności pomimo tego, że za moimi plecami czał się nieprawdopodobny koszmar. Nie mogłem się ruszyć, bo myślałem o tym, że nie mam do czego wracać. Prawdziwy dom rozsypał mi się dawno, a i kawalerki już nie było. Dokąd bym poszedł? Do ciebie, Haniu? Na twój garnuszek, wiedząc, że sama ciężko pracujesz, żeby jakoś wiązać koniec z końcem, mieszkasz u teściów z mężem i dwójką brzdąców? Nie, to byłoby bez sensu, dokładać ci jeszcze starego dziada, który już raz się zepsuł. Pamiętam, jak płakałaś, kiedy zaczęły się te wszystkie zaniki pamięci, upadki, zawieszenia. Dużo czasu minęło, zanim pogodziłaś się z moim otępieniem. Co miałabyś teraz powiedzieć? Z czego się cieszyć? Gdzie upchnąć tatusia?

Nie, tego nie wolno mi było zrobić. Ale jeśli nie do ciebie, nie dla ciebie, to dla kogo w takim razie?

Myślałem o tym dobrych kilkanaście minut, stojąc w progu i nawet nie czując mrozu. Wreszcie to pielęgniarz zareagował najbardziej racjonalnie.

- Jest zimno, chodźmy - powiedział, odciągając mnie od drzwi łagodnie, jak to on, i prowadząc do mojego pokoju.

I oto jestem tutaj, w pokoju na piętrze. Przyglądam się drzewom. Przypominam sobie, co powiedziała Madame, obracam jej słowa w głowie jak landrynkę na języku, aż treść rozpuszcza się, przenika w głąb mózgu i przestaje przypominać przymus, a zaczyna być własną potrzebą. Sądzę, że mam czas i mogę się przygotować na nowe.

Mógłbym też pewnie powiesić się na karniszu. W pierwszej chwili wydaje się to bardziej kuszące od przemiany w metalowego golema, po głębszym jednak zastanowieniu - wymaga pewnego wysiłku. A ja jestem zmęczony, już się dziś nabiegałem.

Zespolić się z innymi, stać się częścią tworu większego niż strach.

Haniu, nie opowiem ci tej historii, kiedy mnie znów odwiedzisz. Czasem obowiązkiem rodzica jest chronić dziecko przed wiedzą.

A zresztą... może już do mnie nie przyjdiesz? Może już od dawna nie przychodzisz, mogłem w końcu coś pomylić w datach. Jeden dzień, pół roku... Co to za różnica?

Więc na próbę myślę o śrubkach i o tym, jak mogą smakować. Zaraz wstanę i sprawdzę, czy w

Witkovej nocnej szafce coś się nie zawieruszyło. Potem poproszę ich o lekarstwa, bo muszę się jakoś ochronić przed rzeczywistością. A potem? Nie wiem. Coś mi się może jeszcze przydarzy?